



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Redakcyja Wieczorów ro-
dzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa
dnia 27 Lipca 1890 r.

ostojny mistrzu.

Dzięki serdeczne składowy Waszój Dostojności za trudy poniesione przy czytaniu wypracowań konkursowych. Tylko prawdziwa miłość dzieci i głęboka życzliwość dla dalekiego kraju, mogła się zdobyć na takie poświęcenie z czasu i ulubionych zajęć. Rezultat konkursu

jego wuja, będącego zarazem opiekunem chłopca. Janek jest bardzo wątły, cierpi na piersi, a lekarze oddawna już zalecali mu zmianę klimatu, ale brak środków materyalnych dotąd temu przeszkadzał. Pobyt na Atlantcie poprawi może jego zdrowie. Dla usunięcia wszelkich wątpliwości, co do tożsamości nagrodzonego, zaopatrzymy naszego młodzieńckiego posła w list wierzitelny.

Redakcyja.

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Różany gaj dnia 30 Lipca 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Jestem już od kilku godzin na wyspie Atlantcie, a zdaje mi się że i ona i wszystko co mnie otacza, jest tylko snem który rozwieje się i zniknie gdy się obudzę — albo że czytam powieść, której sam jestem bohaterem. Bo też istotnie to co się ze mną dzieje od kilkunastu dni, jest tak dziwne, tak bardzo dziwne, że gdyby mi to kto opowiadał, nie uwierzyłbym chyba... być może że i czytelnicy Wieczorów rodzinnych nie będą chcieli opowiadaniom moim wierzyć! Od chwili gdy Wieczory zaczęły drukować listy „Z wyspy Atlanty”, wszyscy, ile nas było osób w Dębowej Woli, sprzecaliśmy się o nie czy to powieść czy nie powieść. Stryj utrzymywał że powieść, stryjenka że to są listy prawdziwe, jak przekonywały o tem daty. Ja także tego samego byłem zdania, chociaż chwilami budziły się we mnie pewne wątpliwości — ale moi bracia stryjeczni utrzymywali stanowczo, że to tylko wymysł fantazyi autora i żartowali z méj łatwowierności. Gdy jednakże Redakcyja ogłosiła konkurs królewicza Zielonki, nie tylko bracia ale i stryj nawet zachwiał się w swoim mniemaniu. Zabra-



wypadł zupełnie w myśl Redakcyi, czytaliśmy bowiem te wypracowania, w miarę jak nadchodziły i pragnęliśmy aby autor Stokrotki otrzymała pierwszą nagrodę. W oznaczonym dniu Janek sierota oczekiwać będzie w Redakcyi naszój, na mającego po niego przybyć majtka niemowę; depeszę donoszącą o tem, odebraliśmy dziś właśnie z Dębowej Woli od

liśmy się wszyscy do pisania wypracowań, a bracia choć jeszcze czasem probowali żartować, mówili często o podróży na Atlantę i o morzu, w którym tyle się naczytali, a którego nie widzieli nigdy. Wszyscy trzej pragnęliśmy doznać nadzwyczajnych przygód. Moim ideałem był zawsze Robinson Kruzo, bo najmiłsze mi jest to, co własnym trudem zdobęde — ale Tadzio zachodził dalej w swych marzeniach; on nie odkrywać pragnął, ani zdobywać, ale korzystać z gotowego. Miał nadzieję, że skoro tylko raz dostanie się na Atlantę, wkrótce uda mu się dokonać jakiego wielkiego czynu i ożenić z księżniczką Gori, z którą następnie zasiądzie na tronie. Adaś decydował się w braku córek u Kryształka i Pióropuszką, poprzestać na jakiej damie honorowej, byle nie bardzo starej i tytule księcia — ja zaś, jeżeli kiedy puściłem wodze mej fantazyi, to nie małżeństwo z królewną ani tytuły i zaszczyty, ale kwiaty miałem na myśli. Marzyłem o ich nieprzebranem bogactwie, o barwach cudownych, o kształtach przeróżnych, o misternej budowie zdumiewającej mędrców... wreszcie o ogrodach wiszących, których opis czytałem już w *Niezgodnych królewiczach*, i o których niejedną noc prześniłem. Wszystko to, wszystko mogłem widzieć, gdyby na mnie padł los szczęśliwy, ale wyznać że nie miałem nadziei utrzymania nagrody, bo opisałem kwiatek tak skromny, iż prawie pewny byłem, że sam jego wybór nie spodoba się królewiczowi, posiadającemu najwspanialsze kwiaty wszystkich stref i umięjącemu oceniać ich piękność.

Rozwiązanie konkursu wprawiło wszystkich w zdumienie, ale najwięcej zdumionym byłem ja sam. Spełnienie moich skrytych marzeń nappełniło mię radością, ale nie okazywałem jęj zbyt jawnie, przez wzgląd na braci, srodze doznany zawodem dotkniętych — dla Tadzia zwłaszcza utrata żony, tronu i sposobności do wielkiego czynu, była ciosem prawdziwym. Nie wiedziałem też czy stryj będący moim opiekunem od śmierci matki, pozwoli mi na tę podróż — ale się nie sprzeciwiał, tylko gdy pakowałem moje rzeczy, powiedział mi z uśmiechem, że pewnie przywiezę napowrót mój tłumoczek z Warszawy, bo Atlanta istnieje tylko w wyobraźni autora, któremu Redakcja kazała taką powieść napisać. Bracia też gorąco przedtem pragnący odbyć tę podróż, wyznali mi każdy z osobna, że żaden z nich nie zdecydowałby się za nic w świecie jechać na wyspę, której niema na mapie. Przy pożegnaniu Tadzio mi szepnął, że on uważa małżeństwo za głupstwo, radzi mi przeto abym się nie żenił z księżniczką Gori, ale jeżeli zostanę jakim wielkim panem atlantyjskim, żebym przysłał po niego okręt do Dębowej Woli — a Adaś dodał, że on znów tak bardzo małżeństwu przeciwny nie jest, zwłaszcza z damą honorową, i że w ostateczności przyjąłby tytuł hrabiego. Prosił też abym mu napisał, czy król naprawdę jest taki sam człowiek jak inni ludzie.

Jadąc do Warszawy, myślałem chwilami że stryj ma słuszość, i że cała ta historia jest tylko wymysłem autora, a wówczas serce biło mi mocno z niepokoju i obawy zawodu — ale gdy przybyłem do bióra Redakcyi, gdzie wysoki kościasty mężczyzna w ubraniu marynarza czekał już na mnie, wszystkie moje wątpliwości zniknęły.

Ponieważ Szanowna Redakcja żądała, abym nietylko po- byt mój na wyspie ale i podróż opisał, zaczęłem więc od samego początku. Wychodząc z domu w którym się mieści Redakcja, zobaczyłem duży tłum ludzi przed bramą i na ulicy. Były tam osoby różnego wieku, a najwięcej takich jak ja chłopców, dziewczynek i dzieci. Zapytywałem stróża co znaczy to zbiegowisko, i czy co nadzwyczajnego stało się w tym domu. Przeszło mi przez głowę, że może kogo zamordowano, lub okradziono, ale on odpowiedział mi, że chcą zobaczyć jakiegoś Janka sierotę, którego podobno jakiś niemowa czy karzeł ma zabrać do zaczerpowanego kraju. Zmieszało mnie to objaśnienie i spoj- rzałem na mego towarzysza, a choć nie rozumiał po polsku, zdawało mi się że pojął o co idzie — bo wzięwszy odemnie mój worek podróżny, ujął mnie za rękę i zaczął się przeciskać przez tłum, który zamiast nas przepuścić, ścisnął się jeszcze bardziej dokoła nas, wołając:

— To oni! patrzcie, to oni!

— Czy ty jesteś Janek sierota?

— Czy to twoje wiersze były drukowane w *Wieczorach*?

— Czy to ten niemowa, co cię ma zawieść na wyspę Atlantę?

— Janku, Janku, powiedz nam czy ty tam jedziesz na prawdę?

— Więc to nie jest powieść? A wszyscy mówili, że to powieść!

— Biedny chłopczyka, jaki blady! — odezwała się jakas kobieta tonem współczucia. — Ten czarny dyabeł co go za biera, jeszcze go tam gdzie uduśi; bardzo mu jakoś niedobrze patrzy z oczu! Jaby tak mego dziecka nie puściła.

— On nie ma matki — przemówił jakiś staruszek — słyszeliście przecież że sierota.

„Nie ma matki...” słowo to bolesnym dźwiękiem odbiło się w mej duszy. Ach, gdyby moja mateczka żyła, nie odjechałbym od niej tak daleko, choćby królewicz Zielonko darował mi całe swoje królestwo! Chciałem coś odpowiedzieć, ale mój towarzysz machnął ręką na prawo i na lewo, i wnet zrobiło się dokoła nas wolne miejsce; potem otworzył drzwiczki czekającego przed domem zamkniętego powozu, wrzucił mój worek podróżny, podniósł mnie jak piórko, posadził, zatrzasnął drzwiczki i sam szybko wskoczył na kozioł. Woźnica zaciął konie i ruszyliśmy.

Nie znałem wcale Warszawy, bo do szkoły chodziłem na prowincyi, nie mogłem więc zniarkować w jakim kierunku jedziemy. Wyglądałem przez okno, ale nie wiele mogłem zobaczyć, bo było to wieczorem i już robiło się mroczno. Po długim krążeniu po różnych ulicach miasta, zajechaliśmy nareszcie przed jakiś dworzec kolei żelaznej. Mój towarzysz zaprowadził mnie do sali poczekalnej pierwszej klasy i pokazał mi na migi żebym się ztąd nie ruszał, oddalił się zapewne dla kupna biletów.

Myśl że nie wiem gdzie się znajduję, niepokoiła mnie i drażniła. Uchyliłem drzwi i przekonawszy się że niemowy nigdzie blisko niema, skinąłem na posługacza niosącego w rękę niewielką walizkę i zapytałem go jak się nazywa banhof, ale spojrzał na mnie jak na waryata i odszedł wzruszywszy ramionami. Zobaczyłem chłopca w moim wieku i powtórzyłem mu to samo pytanie, ale parsknął mi w oczy śmiechem, mówiąc:

— Mój kochany, pytaj się takich jakim sam jesteś!

I pokazał palcem na czoło. Cofnąłem się zniechęcony do dalszych informacji, gdy wtęem do sali klasy pierwszej, gdzie się znajdowałem, weszła poważna dama w okularach, z kanarkiem w klatce i tuzinem co najmniej drobnych pakunków. Dobroduszną jej twarz wzbudziła we mnie zaufanie. Skłoniłem się jak umiałem najgrzeczniej i przemówiłem.

— Przepraszam szanowną panią za moję śmiałość, ale czy nie mógłbym dowiedzieć się od pani co to jest za dworzec?

Dama zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a na twarzy jej odmalowała się zgroza.

— Wstydź się kawalerze — rzekła ostro — tak sobie drwić ze starszych. Mój Boże, co to dziś za młodzież! mleko ma jeszcze pod nosem, a już nie szanuje siwych włosów...!

To powiedziawszy odwróciła się do mnie plecami, pokazując mi w całej okazałości przedpotopowe okrycie w duże tureckie palmy na jasnym tle. Umilkłem zawstydzony i nie usiłowałem nawet się tłumaczyć — cóż bowiem mogłem powiedzieć na swoje obronę? Kto mi uwierzy iż niewiem dokąd jadę?

Zadzwoniono raz i drugi, wszyscy wychodzili na platformę, ale ja nie ruszyłem się z miejsca, czekając na marynarza. Poważna dama także już wyszła i zacząłem przypuszczać że stałem się ofiarą jakiegoś żartu, gdy zjawił się niemowa z moim workiem podróżnym w rękę i skinąwszy na mnie, zaprowadził do wagonu pierwszej klasy, co mnie niezmiernie zdziwiło...

— Nie jestem przecież żadną znakomitością — myślałem — chyba że chciano w mej osobie uczyć *Wieczory rodzinne*!

Zadzwoniono po raz trzeci i pociąg ruszył: teraz dopiero

spozstrzegłem, że nie jesteśmy sami. W kącie wagonu wsunięta, siedziała owa poważna dama w przedpotopowym okryciu i od czasu do czasu obrzucała mnie pogardliwym spojrzeniem. Jechaliśmy w milczeniu, a ja rozmyślałem o mej dziwnej przygodzie i o tajemniczej wyspie, a najwięcej nad kierunkiem drogi, w jakim mnie wiozą. Postanowiłem sobie przy pierwszym zatrzymaniu się pociągu odczytać koniecznie nazwisko stacyi, i z niego coś wnosić o kierunku. Ziemniło się zupełnie, ale w wagonie naszym wkrótce zabłysło światło. Siedząc naprzeciw niemowcy, mogłem teraz dobrze mu się przypatrzeć, bo dotąd jakoś nie było na to czasu. Człowiek to już niemłody, szpakowaty, z cerą ciemno-oliwkową, wysuszoną i ogorzalą na słońcu, prawdopodobnie od upałów południowych i wiatrów morskich. Oczy małe, siwe, patrzyły przed siebie obojętnie, prawie beznamiętnie; wązkie, zwiedle wargi zaciśnięte były z pewną zaciętością, a przez otwarty kołnierz na piersiach, wyglądała szyja chuda i muskularna. Miał na sobie ubiór marynarski, a złote kotwice na kołnierzu i czapce, krzyżowały się z białymi różami, godłem królewicza Zielonki. Podczas gdy mu się przypatrywałem, on zdawał się nie zwracać na mnie żadnej uwagi.

Poważna dama sięgnęła po koszyczek i zaczęła się posilać — a widok ten przypomniiał mi że jestem głodny, bo z wrażenia że jadę na Atlantę, zapomniałem zupełnie o jedzeniu; paczka w jaką mnie stryjenka w Dębowej woli zaopatrzyła, była wcale nieruszona. Otworzyłem worek podróżny, wyjąłem swoje zapasy składające się z zimnego mięsa, pasztetu, chleba wiejskiego, i dobywszy z kieszeni nożyk składany, podałem memu towarzyszowi, zapraszając gestem do jedzenia. Nie odmówił: ukroiwszy sobie spory kawał chleba i mięsa, oddał mi nóż i jedząc patrzył przez okno na księżyc, zdając się znowu nie zwracać na mnie uwagi. Ale gdy i ja już posiliwszy się zamknąłem napowrót worek, on z kolei wyciągnął z kieszeni flaszkę oplatana i podał mi ją. Wyznałem że bardzo mi się pić chciało, więc pociągnąłem kilka sporych łyków. Było to wino jakiego nigdy jeszcze w życiu nie piłem: jakieś niby łagodne a mocne, jakieś niby słodkie a gorzkawe, przypominające wino nalewane na zioła alpejskie, zwane jeżeli się nie myli *Wermuth*, a przepisywane chorym przez lekarzy dla pobudzenia apetytu. Rozeszło mi się ono po żyłach wzbudzając błogie ciepło, a potem przeszło w nogi odejmując im władzę. Uczułem w sobie dziwne znużenie; powieki zaciężyły mi jak ołów i ogarnęła mnie niepowściągnięta chęć snu. Zamyślałem je kilkakrotnie i otwierałem, broniąc się instynktownie przed zaśnięciem, a gdy oczy moje napół już tylko przytomne, padły przypadkiem na mego towarzysza, dojrzałem że apatyczny wyraz jego twarzy gdzieś zniknął, a on sam wpatrywał się we mnie z jakąś złośliwą, szyderską radością. Nagły mnie przestрах ogarnął i przypomniły mi się słowa owej kobiety na Mazowieckiej ulicy, przed domem Redakcyi: „Ten czarny dyabeł jeszcze go tam gdzie zdusi”. Chciałem krzyknąć ale nie mogłem wydobyć głosu, poruszyłem rękami jakby szukając ratunku i straciłem zupełnie świadomość o sobie.

Nie wiem jak długo spałem, ale pierwszym wrażeniem doznaniem po obudzeniu się, było jakieś dziwne kołysanie. Myślałem, że się wagon wykołysił i zerwałem się przestraszony. Spozstrzegłem wówczas, że nie jestem w wagonie, ale w jakimś małym pokoiku, którego dwa okrągłe okienka z grubego szkła taflowego, opatrzone kratą żelazną od zewnątrz, wychodziły na morze, a ja sam śpię na łóżku mającym kształt hamaka. Jednem słowem znajdowałem się w kajucie okrętowej; na podłodze leżał mój worek podróżny, na krześle zwierzchnie ubranie i kapelusz. Zdziwionym wzrokiem wodziłem po ścianach, nie wierząc własnym oczom i nie mogąc pojąć jakim sposobem się tu dostałem. Przypomniłem sobie że zasnąłem wkrótce po wypiciu wina, którem mnie poczęstował niemowa: pamiętałem dokładnie jego smak gorzkawy — ale co potem stało się ze mną, nie wiedziałem i pytałem się siebie, czy obecne wrażenie nie jest tylko dalszym ciągiem snu?

Tak bijąc się z myślami dotykałem kolejno rękami posłania, drewnianych ścian kajuty powleczonej pokostem, bo chciałem się koniecznie obudzić, ale sen trwał ciągle. Na-

reszcie wyskoczyłem z łóżka i upadłem na jedno kolano, a ból doznany z uderzenia był wrażeniem tak rzeczywistym, że nie mogłem już dłużej o niem wątpić. Ale jeżeli to nie sen, jakaż zatem siła czarodziejska przeniosła mnie z wagonu na okręt, bez wiedzy mojej? Jak dawno tak podróżowałem, dzień jeden tydzień, czy miesiąc?

Kajuta miała nader szczupłe rozmiary, tak szczupłe, że zaledwie można się było w niej obrócić — a jednak zaopatrzona była we wszystkie wygody, naturalnie dla niebardzo wymagających osób. Znajdowała się tam kanapka, stolik, szafka, nawet umywalnik, wszystko przymocowane do podłogi. W umywalniku znalazłem wodę, ręcznik i mydło. Ubierając się, myślałem że gdybym podróżował miesiąc, a choćby tydzień, to będąc przez ten czas bez jedzenia, musiałbym koniecznie schudnąć, a tego jakoś po swoim ubraniu nie uważałem. Wkrótce byłem gotów i otworzywszy drzwiczki, wyszedłem małemi wązkiemi schodkami prowadzącymi w górę na pokład.

Ujrzałem morze...! Wszędzie gdzie sięgnąć okiem, nie widać było nic prócz wody. Morze zlewało się dokoła z widnokretem, a przy zupełnej ciszy w powietrzu, spokojne i nieruchome jak zwierciadło, odbijało w sobie niebo jasne, błękitne, wraz ze słońcem posuwajacem się coraz wyżej. Miałem je nad głową i u stóp, co sprawiało takie złudzenie, jakby okręt zawieszony w powietrzu płynął na obłokach między dwoma słońcami i doznałem dziwnego upojenia. Sam okręt powiększony odbiciem w wodzie swego odwrotnego obrazu, wyglądał niby jakiś olbrzymi fantastyczny ptak — na skrzydłach ptaka więc leciałem do zaczarowanego kraju! Nie widziałem nigdy morza innego jak malowane, a teraz gdy ujrzałem prawdziwe w całym majestacie, ogarnął mnie dreszcz zachwyty, podziwienia i grozy. Wszędzie miałem przed sobą nieskończoność. Jakże wielkim jak potężnym jest Bóg, który je stworzył! Dotąd widywałem Boga w kościele, w blasku jarzących świec; widywałem Go na każdym krzyżu stojącym przy drodze, i znajdowałem ślady Jego ręki w roślinie, w drobnym robaczku, w promieniach słońca ożywiających ziemię — teraz ujrzałem Go w oceanie! Jakież On wielki, a jak ja jestem mały... A jednak wiem, że słyszy uderzenia mego serca, tak jak słyszy ryk oceanu podczas burzy; wiem, że czyta najskrytsze moje myśli tak wyraźnie, jak zygzaki błyskawic, któremi pioruny piszą po niebie.

Kolana ugięły się podemną i wyszeptalem.

— O Boże, który jesteś tak potężny, że wszystko możesz, ulituj się nad tymi wszystkimi którzy cierpią!

Tajemnicza otchłań morską ciągnęła mnie ku sobie. Oparłszy się o burt, przypatrywałem się obrazowi odbitego w wodzie okrętu i wyczytałem na jego boku odwrócony napis wielkimi literami: *Narcyz*. Na maszcie powiewała flaga szkarłatna z wymalowaną na niej białą różą. Nie miałem już żadnej wątpliwości, że znajdowałem się na pokładzie *Narcyza*; dostałem się nań czarodziejskim sposobem, a wczoraj tych pewnie rolę nieposłuszną grało owo wino, którego smak gorzkawy dokładnie sobie przypominałem. Użyto względem mnie podstępny, żeby nie wiedział z jakiego portu okręt wypłynął, gdzie dąży — nie ufano mi, chociaż szlachetny *Abakadabrus* zapewnił królewicza, że naród do którego należę „nie jest narodem zdrajców...!” Jeżeli powątpiewano o mojej uczciwości, dla czego dopuszczono do tej podróży?

Te i tym podobne myśli, napełniały mi serce gniewem i goryczą. Odwróciłem się i zobaczywszy przy rudlu siedzącego sternika, zapytałem go po niemiecku, gdzie jesteśmy, ale nie odpowiedział mi wcale, choć na mnie patrzył i widocznie słyszał moje pytanie. Powtórzyłem zapytanie po francuzku, ale także nie otrzymałem odpowiedzi. Rozumiałem trochę język angielski i nauczyłem się przypadkiem kilku włoskich wyrazów. Użyłem obu tych języków: milczenie. Zwróciłem się z tem samem do trzech majtków, z których jeden palił fajkę na krótkim cybuszku, a dwaj drudzy łątali sobie odzienie, żując w ustach tytoń, i powtórzyłem próbę zrobioną ze sternikiem, ale spotkało mnie to samo. Milczeli wzruszając tylko ramionami.

— Wielki Boże! — pomyślałem — albo cała załoga zło-

żona jest z głuchoniemych, albo też ci ludzie nie rozumieją innego języka oprócz atlantyjskiego, co chyba jest niepodobieństwem. Marynarze odbywający ciągle po świecie podróże, znają podobno potrosze wszystkie języki, bo inaczej jakżeby się porozumiewali z ludźmi?

Odwrociłem się zniechęcony, i spotkałem się oko w oko z niemową, który stał z rękami w tył założonemi i złośliwie się uśmiechał. Minałem go, jakbym go wcale nie spostrzegł, ale w tejże chwili powiedziałem sobie, że niesłusznie mam do niego urazę, bo on przecież pełnił tylko wyższe rozkazy — i wróciwszy się podałem mu rękę i powiedziałem „dzień dobry”. Spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem i zobaczyłem na jego twarzy odcień życzliwości.

Nowa myśl przebiegła mi przez głowę: powróciłem do sternika i zadałem mu inne pytanie, mianowicie ile węzłów płynie okręt na godzinę.

— Pięć węzłów — odpowiedział.



Dr. Creveaux.

Zrozumiałem teraz że ludzie ci są głusi na niektóre tylko pytania, i prowadziłem dalej ze sternikiem rozmowę. Dowiedziałem się że Narcyz jest małym statkiem żaglowym, dwumasztowym; że może pomieścić siedemdziesiąt pięć beczek ładunku na spodzie okrętu i dwadzieścia pięć beczek balastu z kilkunastoma beczkami wody; że balast wystarcza dla zapewnienia okrętowi równowagi, gdy jedzie bez ładunku. Dowiedziałem się też że załoga była bardzo szczupła, bo prócz sternika i niemowy, złożona tylko z trzech majtków i kucharza okrętowego.

Rozmawiając tak ze mną, sternik raz po raz dobywał z kieszeni jakiś owoc jagodowy podobny do ziarn winogrona, nieznanego mi olbrzymiego gatunku i kładł go do ust, przyczem rzucał bystre poza siebie spojrzenie. Uderzyło mnie to i chciałem go właśnie zapytać o gatunek tych winogron, których wielkość mnie zastanowiła, gdy spostrzegłem zmierzającego ku mnie niemłodego barczystego mężczyznę średniego wzrostu. Włosy miał szpakowate, krótko przyszyty, spojrzenie bystre, brwi gęste, twarz ogorzalą, czerwona trochę i dobroduszną.

— Zapewne mam przed sobą pana posła — przemówił po francuzku, kłaniając się — które to słowa czezą były formalnością, wiedział bowiem doskonale kogo miał na pokładzie.

— Tak jest — odrzekłem kłaniając się także.

— Jestem Tamarix, kapitan Narcyza, mającego przewieźć pana na wyspę Atlantę. Czy pan rozumiesz po atlantyjsku?

— Nie, panie kapitanie, nie znam wcale tego języka.

— Spodziewałem się tego. W jakimże więc języku pan wolisz abyśmy się porozumiewali: we francuzkim czy w niemieckim?

— Wolalbym we francuzkim.

— I tego się spodziewałem. Słyszałem że naród wasz nazywają „francuzami północy” i że w waszym kraju język francuzki jest tak lubiony, iż władacie nim prawie lepiej niż ojczystym, którym podobno zamożniejsza młodzież wstydzi się nawet rozmawiać w tak zwanem, lepszem towarzystwie. Anglik jeden opowiadał mi, że będąc w tym roku w Warszawie na wyścigach, słyszał dokoła tylko francuzką rozmowę i byłby przysiągł, że się znajduje nad Sekwaną.

Krew uderzyła mi do głowy.

— Panie kapitanie — odpowiedziałem, powściągnąwszy się — Anglik źle pana poinformował. Jeżeli choroba o jakiej pan słyszałeś, grasowała u nas dawniej, to wyleczył nas z niej wielki doktor, nieszczęście. Wyzdrowieliśmy prawie zupełnie, a jeżeli są jeszcze tu i owdzie chore wyjątki, cały naród odpowiadać za nie nie może. Gdyby pański Anglik zamieszkał na czas jakiś między nami i pochodził z nami do szkół, powiedziałby inaczej. W słowach pańskich, panie kapitanie, przebija się niechęć do mojego kraju: ubliżyłeś mu pan w mojej obecności. Nie powinienem pozostawać dłużej na pańskim okręcie, bo ubliżyłbym sobie. Każ pan spuścić na morze łódź i odwieźć mnie do najbliższego brzegu. Zrzekam się wszystkich cudów wyspy Atlanty i zaszczytniej godności królewskiego pazia. Nie chcę ich zdobywać takim kosztem!

(d. c. n.)

OFIARA NAUKI.

Znakomity podróżnik francuzki, doktor Creveaux, którego dajemy dziś wizerunek, urodził się w Lotaryngii, a od dzieciństwa marzył o dalekich wędrowkach. W tym celu obrabując sobie zawód doktora medycyny, objął służbę jako lekarz okrętowy i w 1868 r. zwiedził Senegal, Antyllę i Guyanę.

Pierwsza podróż zachęciła go do nowych wypraw, a sława, o nieustraszonej jego odwadze rosła z dniem każdym.

W osiem lat po pierwszej, wybrał się doktor Creveaux na nową wyprawę, w głąb Guyany, a powróciwszy z niej wysłanym został przez Ministerjum marynarki i oświecenia publicznego dla zbadania kraju Paragway.

Wiadomo że kraj ten, położony w Ameryce południowej, przetrzymany jest rzeką tego samego nazwiska.

Pora nie sprzyjała pieszej wędrowce, nie chcąc czekać bezczynnie, młody doktor przedsięwziął tymczasową wyprawę w górę Pilcomayo, rzeki wpadającej do Paragwayu.

Bieg jędy nie był jeszcze oznaczonym przez żadnego uczonego. Rządy Boliwii, Paragwayu i Rzeczypospolitej Argentyńskiej zachęcały, chciwego wiedzy młodzieńca, do nieznaniej i niebezpiecznej wyprawy.

Creveaux przedsięwziął ją wraz z astronomem Binet'em i rysownikiem Ringera'em. Czternastu ludzi stanowiło eskortę uczonych.

19 Kwietnia 1882 r. trzy łodzie, oddane przez rząd do rozporządzenia podróżników, wypłynęły w górę Pilcomayo.

Pokładano niezachwianą ufność w dzielności i rozumie naczelnika wyprawy, a wiadomości, odbierane od niego z drogi, potwierdziły to przekonanie. Oczekiwano więc ze spoko-

jem powrotu wyprawy, gdy nagle, jak piorun rozeszła się w Paragayu wiadomość, że doktor Creveaux, wraz z wszystkimi towarzyszami, zamordowany został przez Indyan, z pokolenia Tobas.

Rodak nieszczęśliwego uczonego, pan Thouar, chciał dotrzeć do miejsca gdzie zginęło tyle niewinnych ofiar.

Udało mu się dojść aż do Teyo, stolicy pokolenia Tobas, i tu dowiedział się od mieszkańców, zwykle łagodnych i ludzkich, że śmierć doktora Creveaux była zemstą za krzywdę, uczynioną im w tym samym czasie przez białych mieszkańców Boliwii.

— Bo też co za różnica, nie masz pojęcia mamó — odparła Lila — panna Regina dziwnie się zmieniła, taka poważna teraz zawsze, taka smutna, nigdy się nie rozśmieję, żartu nie powie. Zaledwie przyjdzie, powiada wydaj lekcję, gdy wydam, wyklada dalej tonem surowym, monotonnym, potem wstaje, podaje mi rękę i odchodzi, a niechaj ją rzucę jakie pytanie podczas wykładu, mówi zaraz: „nie przerywaj Lilo”, albo udaje że nie słyszy pytania... Dawniej różnemi opowiadaniem naturalnie, mającemi związek z mineralogią urozmaicała mi lekcję, teraz nigdy tego nie robi, spóźnia się przytem zawsze, co chwila spogląda na zegarek, jakgdyby się bała zo-



Lódz papierowa.

Tubyley wspominali nawet z wdzięcznością o podarkach otrzymanych od nieszczęśliwych, oddali panu Thouar papiery doktora i jego łódz, ale najstaranniejsze poszukiwania nie doprowadziły do odnalezienia ciała zamordowanego, któremu rząd Paragayu, należną cześć oddać pragnął.

NAUCZYCIELKA.

(Dokończenie).

Hrabina oderwała wzrok od roboty i zwróciła go na córkę.

— Tak, byłaś niemi zrazu zachwyconą?

stać trochę dłużej, widocznie nudzi ją lekcja, pragnie się jej pozbyć jaknajprędzej, by pójść może na spacer, zaczyna opuszczać lekcję, w przeszły wtorek nie była i dziś znowu nie przychodzi, lecz mniejsza o to, skorzystam na tem, wyjdę wcześniej na spacer, nie będę już czekać, czy pozwolisz mamó?

— Jeśli panna Józefina jest niezajętą wyjdź, zrobicie dłuższy, niż zazwyczaj spacer, to ci na zdrowie pójdzie — odparła hrabina — a do panny Reginy napiszę z zapytaniem, może słabą jest.

Lila podniosła się z fotelu, pocałowała matkę w rękę na pożegnanie i wyszła z salonu. W pół godziny potem z francuzką nauczycielką miejscową, dążyła Włodzimirską na Marszałkowską, gdzie, jak mówiła, chciała kupić sobie parę rękawiczek. Zadatwiwszy sprawunki wyszły ze sklepu, francuzka zwróciła się w stronę ogrodu Saskiego, lecz Lila nie podążyła za nią.

— Pójdźmy dzisiaj ku alejom Ujazdowskim — rzekła.

Panna Józefina snadź lubiła dogadzać dziewczęciu, bo słowa nie odpowiedziałwszy skierowała się ku alejom, uszły kilka kroków zaledwie, gdy Lila zatrzymała się.

— Pani taka dobra, pani mi zrobi jedną rzecz — rzekła — w tym domu mieszka panna Regina, wstąpmy do niej i dowiedzmy się dlaczego nie była dziś na lekcji, mamie się zdaje, że jest słabą.

Tyle było pokory i prośby w głosie tej pieszczochy, iż francuzka uśmiechnęła się przychylnie i weszła do bramy; wskazując tutaj lista lokatorów, wskazała im, gdzie szukać mieszkania nauczycielki. Przez podwórze skierowały się do wązkiej sieni, a z niej na również wązkie wschody, wiodące do mieszkań, znajdujących się w oficynie.

Regina mieszkała z babką na trzecim piętrze, Lila odpoczywała parę razy i z widoczną ciekawością rozglądała się w około; nie dziw, przywykła do szerokich wschodów kamiennych, lub froterowanych, wysłanych dywanami, nie zastanawiała się nigdy nad tem, jak też mieszka jej nauczycielka. Dotarłszy na trzecie piętro, znalazły drzwi mieszkania pani Natolskiej otwarte, zapominając o tem, że to nie wypada, ciekawa jak każdy podłotek, Lila weszła nie dzwoniąc i stanęła bardziej jeszcze zdumiona; weszła do kuchni, przedpokoju nie było tutaj zatem, na kominie palił się ogień, coś się w garnczkach gotowało, lecz nikogo tutaj nie było, snadź służąca dopiero co wyszła i wrócić niebawem zamierzała, świadczyły o tem roztwarte drzwi. Zmieszana tem otoczeniem obcem jej, dziewczynka posunęła się żywo do drzwi, wiodących w głąb mieszkania, za nią francuzka, weszły teraz do niewielkiego pokoju, którego umeblowanie stanowiła jesionowa kanapka, włosem kryta, kilka takich krzesełek, okrągły stół, włóczkową serwetą kryty i pianino politurowane. Lila obejrzała się w około i tutaj nikogo nie było, lecz naprzeciw spostrzegła drzwi, wiodące do drugiego pokoju, skierowała się prosto ku nim, naraz zatrzymała się, obraz, jaki przedstawiał się jej oczom przykuł ją do miejsca, naprzeciw drzwi widać było łóżko, na nim leżała kobieta z białemi, jak mleko włosami, jak wosk żółta, leżała cicho, spokojnie, obok niej stała Regina, twarzy jej Lila dojrzeć nie mogła, gdyż zwróconą była do chorąj, tuż przy łóżku siedział poważny mężczyzna, badał puls stariej kobiety, był to zapewne lekarz.

— Lepiej jest znacznie — odezwał się po chwili — za parę tygodni mam wszelką nadzieję, iż pani wstanie.

— Dopiero za parę tygodni — z cichem westchnieniem odparła chora — o panie doktorze, jabym jutro rada wstać — biedna moja Regina, spojrz pan, jak wygląda, toż to cień dawniej. Już od tygodnia nie kładła się do łóżka, chwili nie wypoczywa, albo mnie służy, albo śpieszy na lekcje, wraca z nich niespokojna, zmęczona, biedna, biedna dziewczyna. Ztąd pędzi, by się nie spóźnić na lekcje, z lekcji bieży jeszcze prędzej, by do mnie wrócić.

Na białą twarzyczkę Lili wybiegł rumieniec, przypomniała sobie zarzuty, jakie czyniła dziś Reginie i zawstydzila się sama przed sobą, a w sercu jej, jakiś głos przemówił:

— Ona łamała się z boleścią, ona troszczyła się o swoje babkę, a tyś ją obmówiła, że zaniedbuje swe obowiązki; ona niespokojnie odbiegała myślą od stolika nauczycielskiego do łóżka chorąj, patrzyła troskliwie na zegarek za ile sekund będzie mogła być znowu przy niej, a tyś posądziła ją, że dla przyjemności skraci i opuszcza lekcje.

Lekarz podniósł tymczasem wzrok na Reginę i uśmiechnął się do dziewczęcia.

— W istocie zmierziała panna Regina — rzekł — lecz młodość prędko wraca do sił, mamy teraz wiosnę, lato niebawem nadejdzie, pojedzie na wieś i będzie lepiej jeszcze wyglądać, niż wyglądała.

— Na wieś — powtórzyła chora z goryczą — nie mamy znajomych na wsi, męczyć się będzie teraz usługą przy mnie i bieganiem za lekcyami, a latem męczyć się będzie skutkiem upałów, taka już jej dola.

Lila poruszyła się niespokojnie i bliżej drzwi podeszła, szelest jej kroków zwrócił uwagę otaczających łóżko chorąj,

Regina obejrzała się, spostrzegła Lile, śpiesznie ku niej podeszła, zamykając drzwi sypialni za sobą. Lila spojrzała na nią i serce jej bardziej się jeszcze ścisnęło: rumiana zwykle twarzyczka dziewczęcia, białą dziś była, jak kreda, pełne życia oczy powleczone były mgłą smutku, silna postać ślaniała się od zmęczenia.

— Panno Regino, jak pani zmierziała! — wykrzyknęła Lila i podbiegła do niej, rzuciła się na szyję swęj nauczycielce i ucałowała ją poraz pierwszy serdecznie, tym pocałunkiem chciała wynagrodzić krzywdę, jaką wyrządziła jej dzisiaj, oskarżając przed matką; głośno wyznać swęj winy nie śmiała, lecz żal jej był szczery, serdeczny.

— Byłam niespokojną, co się z panią dzieje — mówiła dalej — przyszedłam się dowiedzieć, czy pani niesłaba.

— Ja zdrowa jestem zupełnie, lecz babunia chora, dlatego nie byłam na lekcji — odparła Regina, pocałunek, pocałunkiem oddając. — We czwartek przyjdę zapewne, doktor powiada, że babuni znacznie lepiej.

— Niechaj pani nie odchodzi od babci, póki chora — rzekła Lila — proszę bardzo o to i podała rękę Reginie i uściśnęła jej dłoń cieplej, serdeczniej, jak zwykle. — Ja będę tutaj przychodzić na lekcje, póki pani Natolska całkiem do siebie nie przyjdzie — ciągnęła dalej — uproszę o to mamę, bo lekcji pani nie chcę opuszczać, czy dobrze, czy zgodzi się pani na tę propozycję? a na lato pani z babcią do nas na wieś pojedzie.

— Nie wiem czy pani S. będzie rada tej propozycji — odparła Regina..

— To już moja sprawa, niechaj pani powie mi tylko teraz, czy to możliwe, abym z nią miewała lekcje w sąsiednim chorąj pokoju.

— Czy to możliwe — powtórzyła z uśmiechem Regina — ależ dla mnie byłoby to szczęściem najwyższem, mogłabym znowu spełniać sumiennie moje obowiązki, nie opuszczać i nieskracać lekcji, całą myśl w nich zatapiać, bo troska o babkę nie gnębiłaby mnie, bo miałabym ją tuż przy sobie, bo nie pytałabym siebie niespokojnie podczas lekcji, co ona porabia, czy jej nie gorzej, czy nie potrzebuje mnie przy sobie.

— Zatem we czwartek niechaj pani czeka na mnie w domu — rzekła Lila i podała znowu rękę Reginie i pocałowały się raz jeszcze serdecznie.

Regina nie chciała wierzyć, by pani S. zgodziła się na podobny układ; jakaż była jej radość, gdy nazajutrz otrzymała od niej bardzo grzeczny bilecik, w którym uwiadamiła ją, iż póki babka nie wyzdrowieje, Lila będzie do niej przychodzić na lekcje. „Nic a nic nie wiedziałam o chorobie pani Natolskiej” pisała „gdyby była nam pani powiedziała o swem zmartwieniu, byłabym już dawniej tak urządziła lekcje, aby pani mogła święte obowiązki wnuczki z obowiązkami nauczycielki godzić”. Regina byłaby może powiedziała o swęj trosce Lili, ale stosunek z nią był dawniej tak etykietalny: zmienił się on jednak od tej pory, a gdy latem zaproszona przez panią S. pani Natolska z wnuczką do niej na wieś przyjechała, Regina i Lila zawiązały z sobą stosunek szczerzej przyjaźni; młoda nauczycielka prócz lekcji botaniki, których udzielała, teraz młodej panience, rozjaśniała w serdecznych pogawędkach, jej uśpione dotychczas serduszko i prócz przyrody nauczyła ją ludzi kochać.

Teresa Jadwiga.

LÓDZ PAPIEROWA.

Zdaje się to z pozoru niepodobieństwem ażeby z materiału tak wątlęgo jak papier, można zrobić lódz zanurzającą się w wodzie, a jednak przemysł ludzki dokazał tego. Najpierwszym Amerykanom przyszło na myśl że z masy papierowej zwanęj papką, możnaby wyrobić różne przedmioty twar-

de i trwałe. Jakoż okazało się że masa ta, poddana odpowiednim działaniom chemicznym, otrzymuje elastyczność i wytrzymałość większą od najtrwalszego drzewa. Doszedłszy do takich rezultatów, zaczęto w Ameryce wyrabiać z niej mnóstwo przedmiotów, nawet koła do lokomotyw i wagonów, które gdy są nawet ze stali, pękają nieraz przy nagłych zmianach powietrza. Z tej masy więc tak trwałej, w Stanie New-York budować zaczęto również łodzie. Po wielu próbach Amerykanin Bishop na papierowym statku przepłynął pomyślnie 2,500 mil morskich. Potem Francuz Tanneguy de Vogan już tu w Europie wybudował sobie łódź, którą właśnie przedstawia rycina nasza. Papierowy ten statek zowie się: „Qui vive” *Baczność*. Jest dość długi i szeroki, a waży ledwo 25 kilogramów, ma zaś do użytku jednego podróżnika aż dwa wiosła. Pan Wogan dużo już i dosyć odległych podróży odbył pomyślnie na swojej łodzi i dopiero gdy przypłynął Renem do Kolonii, Niemcy nie mogąc znieść widoku trójkolorowej chorągwi, podstępnie w nocy łódź przedziurawili. Pan Wogan, raniony statek sprowadził koleją do Paryża i wystawił go na widok publiczny w sali audyencyonalnej dziennika „France”. Tłumnie schodzono się podziwiać wytrzymałość łodzi i brzydką złośliwość niemiecką. Naprawiwszy, ją Wogan na dowód że się nie lęka udał się napowrót do Kolonii, i z tamtąd pilnując tylko łódź ściślejsz i wsiadłszy w nią, Renem i Mozą popłynął do Rotterdamu, a następnie morzem do Francji powrócił.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Szedł, aż wyszedł za miasto, przeszedł wspaniałe przedmieścia i pola gęsto zbożem zarosłe, i zagłębiwszy się w las palmowy, a skręciwszy w najustronniejsze jego zakątki stanął przed dziwną ludzką postacią, w której każdy choć trochę obznajmiony z rzeczą, poznałby na pierwszy rzut oka fakira. *Fakir* znaczy to po arabsku w ogóle „ubogi” mniej więcej to samo co *derwisz* po persku, ubogi ale zarazem uczony, prowadzący życie pustelnicze, poddający się wszelkiego rodzaju udręczeniom cielesnym, w celu wzmocnienia i wydoskonalenia ducha, skutkiem czego samo z siebie idzie, że fakir jest pełnym zapału sługą tych, którzy są w przekonaniu Hindów najdoskonalszymi duchami na ziemi, sługą braminów.

Fakir, przed którym obecnie stanął nasz bramin wędrowny, był to człowiek wychudły, wysoki, czerniał od słońca, głodu i niewygód, z brodą, włosami, brwią gęsto i prawie całkowicie zarastającymi oblicze, a przytem cały zasypyany kurzem, liśćmi spadającymi, pajęczyną nawet; łachman bezbarwny jakiś wół przerzucony, nie zakrywał jego kości powleczonej czerniałą skórą. Stał oparty plecami o drzewo a ręce podniesione wysoko nad głowę i splecione mocno jak do modlitwy, zarzucił na przyległą gałąź, oczy utkwiał w niebo; mniej podobny w tej postawie do człowieka niż do jakiegoś dziwnego pnia drzewnego, z igraszki przyrody udającej kształty ludzkie.

— Byłem tego pewny!... — mruknął z gniewem bramin sam do siebie i zawołał:

— Mahal!... Mahal!... — ale po trzykroć napróżno powtórzywszy wołanie, gdy wołany ani drgnął, zniecierpliwiony bramin podniósł łaskę i ze wszystkich sił, uderzył nią z góry przez głowę i wzniesione ręce, zatopionego w zachwycie fakira. Wzniesione ręce opadły pod tym ciosem, fakir wsparł się plecami o drzewo wyprostował się i spojrzał nieprzytomnie oczyma:

— Co to jest? — rzekł sennym głosem — czy to błyskawica Brahmy wstrząsnęła jestestwem mojem?

— Tak jest — potwierdził bramin spokojnie — błyskawica wstrząsnęła tobą sługo i przywołała ducha twego z zaświatowego zachwyty, aby odpowiedział na pytania moje. Pośłałem cię do miasta Tungary z rozkazem, iżbyś tam mocą

rozumu twego, nakłonił współziomków i natchnął ich odwagą ku pozbawieniu życia, wszystkich cudzoziemców tamże zamieszkałych i zniszczenia wszelkich śladów ich pobytu na ziemi naszej, z woli Brahmy, za zniewagę religii naszej wyrządzoną, jakżeś wypełnił rozkaz mój?

— Chodziłem naokoło miasta Tungary nie jeden ani dziesięć razy, aż wytłumaczyłem ciemnemu ludowi co powinien zrobić i dla czego, i stało się co było powinno. A potem powróciłem tutaj aby się modlić i pokutować, a w niebiańskim zachwycie zapomnieć o ziemskim życiu.

Bramin wzruszył ramionami z zaledwie tajonem niezadowolaniem.

— Dobrze, możesz się pograżać w rozmyślanii i świątobliwym zachwycie, ale wprzód dopełnisz obowiązku, gdyż to, po co cię posłałem do Tungary i co jak powiadasz tam się stało, źle się stało; a raczej nie stało się wcale!

Fakir wziął w rękę laseczkę, zniżył swój godności, którą miał za pas zatknęty i już gotów był do drogi.

— Co mam czynić? — zapytał.

— Ludzie w Tungara i w okolicy, zniszczywszy parę domostw obcych ludzi i ukarawszy ich właścicieli, nie czynią nic więcej; idź zatem do nich znowu i rozkaż w imieniu Brahmy, aby powstawszy, zniweczyli wszystkich i wszystko co nie jest krwią z krwi i kością z kości jego wyznawców, idź i działaj!

Mahal poszedł, szedł nie spoczywając, nie jedząc i nie pijąc, wszedł do Tungara a spojrzawszy na kilka zburzonych domów Europejczyków i przyjrawszy się ludności oddającej się zwykłym zatrudnieniom, zamiast klęknąć przed nim jak to zdarzało się po drodze, spoglądał zdaleka nań ponuro; począł więc wołać wielkim głosem i wyciągać na cztery strony świata czarne wychudłe ręce, trzymając w jednej tajemniczą laseczkę:

— Ludzie, ludzie co czynicie? na co czekacie? Bogowie wołają pomsty! Biercie w dłonie nóż i zarzewie, w zęby bierzcie miecz!... idźcie zabijać i niszczyć cokolwiek obcem lub z obcych jest, cokolwiek nie jest krwią z krwi, kością z kości waszej!

Wszystko to samo wypowiadał fakir przed kilku dniami, lecz chociaż z wielkim zapałem, pociechu jednak, gdyż Europejczycy znajdowali się wówczas w Tungarze, dziś ich nie było, fakir więc nie przychodził tajemnie, przebrany, z świętymi płackami, lecz jawnie i krzyczał na cały głos. A jednak poprzednie jego podżegania w okolicy wywołały pożądane braminom powstanie, teraz zaś mniej jakoś, potężny głos i zapalczywe gesta zdawały się mieć wpływ. Lud przyglądał mu się z daleka gromadząc, ale nie chwytając za broń i nie biegł mordować Europejczyków z dzikim wyciem, jak banda rozszalałych tygrysów, czego właśnie żądał szalony fakir. Podwoił tedy siłę wymowy i rozpaczliwe gesta, nareszcie tu i owdzie kobieta Indyanka uklekła i wołać poczęła ponuro:

— Tak samo mówiłeś dawniej, uwierzyliśmy ci i ożeśmy na tem zyskali? Mówiłeś że bogowie dadzą nam zwycięstwo, bogactwa, że wytraciwszy obcych, będziemy znów panami kraju naddziadów naszych, a gdzież to wszystko jest?

— Zabili synów moich biali cudzoziemcy, zabili! Niech bogowie oddadzą mi synów!

— Zabili i moich!... i męża i ojca!... oddaj mi synów, męża i ojca, sługo bogów.

— Skłamałeś! obiecywałeś nam zwycięstwo a zyskaliśmy zabitych!

Fakir Mahal osłupiał w pierwszej chwili na taką zniewagę swego powagi, a tymczasem przed gromadę rozpaczających kobiet i ponurych mężczyzn wystąpił jeden i rzekł:

— Czego chcesz od nas, ty który się sługą bogów mianujesz? Buntu przeciw Anglikom? Ależ! nie jesteścieś na to dosyć silni, ani uzbrojeni odpowiednio. Może w innych miejscowościach lepiej przygotowaliście lud do walki, niechże więc tam walczą. Tu w naszej okolicy dwie rodziny angielskie okazały się mocniejsze od nas, uciekły wystrzelawszy mnóstwo naszych współbraci, a jeżeli kiedy powrócą, to mścić się będą na dzieciach naszych za nasz bunt niesłuszny,

bo oni nigdy nie czynili nam krzywdy. Ty masz do zguby wiedzieć, nie spełnia się to co obiecujesz, nie wierzymy tobie, nie jesteś prawdziwym sługą bóstwa!

— Co!... nie jestem prawdziwym sługą bóstwa!... — powtórzył z piorunującym okrzykiem fakir, którego ten ostatni zarzut ocucił z poprzedniego osłupienia, doprowadzając go do gniewnego szału. — Jak śmiecie wymawiać bluźnierstwa tak okropne! Nie tailem wam przecież że zwycięztwo musicie krwią opłacić!

— Nie wierzymy tobie — głucho odparł zebrany tłum, zdziękowany strzałami Mac Ulmów i Thornów, które tem większe wrażenie zrobiły, że się wcale tak dzielnej obrony nie spodziewano. idąc na pewne jakoby zwycięztwo.

— Nie wierzycie? Jakto nie wierzycie? Czyliż nie wiecie, że jestem przysłany do was z rozkazami od świętych braminów z Benares? — zapytał fakir po chwili, sam odchodząc prawie od przytomności ze zdziwienia, nad krnąbrnym ludu oporem, świętym rozkazom. I w istocie, głuche milczenie zapanowało po tych wyrazach, bo tajemnicze rozkazy ukryte dawniej w poświęcanych placuszkach, a teraz święta laseczka tkwiąca w ręku Mahala, przekonywały dowodnie o jego wiarygodności: tak, on był niemylnie wysłańcem świętych kapłanów z Benares, przed których powagą wszystko ustąpić musiało. A jednak groza wywołana dzielną obroną Anglików poddała wystraszonym hindusom, wybieg odpowiedni, jeden z mężczyzn rzekł:

— Tak, widzimy godność twą, ale czem nas przekonasz żeś nie splamił ciężkim grzechem duszy twojej i że przeto bóstwo nie odwróciło się od ciebie?

— Tak! tak musi być z pewnością, kłamliwe są słowa twoje, nie przekonasz nas! — zawołał lud.

— A jeżeli przekonam? — dziko zawołał fakir, czarne ramiona z laseczką podnosząc w górę gwałtownie.

— Jak?... w tem jednym słówku brzmiało prawie urąganie. Fakir zwinął się jak wąż raniony.

— Niema tu gdzie tygrysa w lasach? Nie słyszeliście jego głosu? Powiedzcie gdzie? Pójdziemy tam w nocy, jeżeli na zawołanie moje przyjdzie mi liść stopy jak pies, czy uwierzycie mi?

Hindusi spojrzeli po sobie: tygrys to najsroższy nieprzyjaciel w Indyach i pogromca człowieka, bo go wyrugował z niektórych jego posiadłości; lew najpotężniejszy, jest barankiem w porównaniu z tygrysem, angielskie kule igraszką. To też groza otoczyła go tajemniczym wiele znaczącym zabobnem:

(d. c. n.)

ZAGADKA.

ułożyła Ewa Marya.

Z ziemi ku niebu, gorąca, szczerą,
Na białych skrzydłach aniołów leci;
Prośbą tęczowe bramy otwiera,
Grzechem zamknięte dla ludzkich dzieci.

A kiedy leżąc przed Ojca tronem,
Pokorą, skrucną, łzami Go wzruszy,
Wraca, nad sercem łaską wzmocnionem
Wiara, nadzieją, przyświeca duszy

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Polnej Róży dla Niezapominajki z nad Teterowa.

Z następujących zgłosek: bu—bo—cho—dan—dzi—do—na—no—e—gi—i—j—k—k—l—l—o—ro—ra—stry—te—wi—za—zor — ułożyć wyrazy: 1. Komora celna w Rosyi. 2. Mięczaki jadalne. 3. Pisarz włoski. 4. Zwierzę z rodziny gryzów. 5. Mieszkaniec Ameryki. 6. Góra. 7. Król w starożytności. 8. Poeta współczesny. Końcowe i początkowe litery odczytane z góry do dołu, utworzą tytuł miłego nam wszystkim pisma tygodniowego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Niteczki Aryadny:

Bywaj mi zdrowy kraju kochany,
Już w mglistej nikt nieś pomroce,
Świsnęły wichry, szumią bałwany,
I morskie ptactwo świegoce.
Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pograża piany.
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany.
(Pożegnanie Child Harolda lorda Byrona).

Łamigłówki sylabowej:

1. Memel. 2. Inkasowie. 3. Łuskawiec. 4. Efez. 5. Zmrok. 6. Łyko. 7. Essen. 8. Garibaldi. 9. Oise. 10. Perejasławiec. 11. Odrowąż. 12. Cna. 13. Zapał. 14. Aq. 15. Tyflis. 16. Korzon. 17. Inflanty.

Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadania, że codziennie od godz. 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczenie: przychodnich, pensjonarek i pół-pensjonarek. Lekcje rozpoczyna się 21 Sierpnia (2 Września). 4—1

PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA H. WERNICA.

Wyszła z druku nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołach początkowych, cena kop. 25.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Ofiara nauki (z portretem). — Nauczycielka. p. Teresę Jadwigę. — Łódź papierowa (z drzew.). — W Indyach. — Łamigłówki i rozwiązywania. Dodatek: Zazdrosny, wierszyk (z drzew.). — Dobry przykład p. Cairo (z drzew.). — Krowa p. M. W. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówki i rozwiązywania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

ZAŻDROSNY.



szczęśliwy kuzynku! —
[rzekł dzik do wie-
[przaka

Ucztować wciąż w kar-
[mniku, miła dola taka,

Gdy ja o moję żywność
[sam się starać muszę

A jeśli chcę próżnować,
[to poszczę i suszę.

— Och—odpowie ów—
[prawda, o mnie się
[kłopotac...

Lecz nie zazdrościłbyś
[mi, gdybyś wiedział po
[co...

DOBRY PRZYKŁAD.



— Marysiu, zapnij
mi buciki! Marysiu
daj mi wody! przy-
nieś mi z drugiego po-
koju książkę! — wo-
łała po całych dniach
na służącą ośmiole-
tnia Felcia, której się
zdawało iż będąc có-
reczką dość zamo-
żnych rodziców, nic
sobie sama zrobić nie

powinna, bo na to jest w domu pokojówka.

— Felciu — napominała nieraz mama — jesteś mło-
dą i do biegania masz dobre nóżki, dla czego sama nie
przyniesiesz sobie potrzebnych ci rzeczy. Wszak ja je-
stem starsza i jako pani domu mam większe prawo do
rozkazywania służbie, a przecież widzisz jak rzadko go
używam, starając się o ile możliwości w takich małych
rzeczach sama sobie usłużyć...

Dziewczynka na razie usłuchała napomnienia, lecz
nie upłynął kwadrans a już słyhać było z drugiego po-
koju:

— Marysiu, czemu mnie nie ubierasz kiedy wiesz,
że mam iść na spacer! Podaj mi kalosze!... a skoro
Marysi nie było w domu:

— Kucharko, podaj mi to lub owo, chodźże prę-
dziej!...

— Zresztą — tłumaczyła mama — pomyśl wiele ty
czasu zabierasz téj biednej Marysi, której i tak, ciężko
podołać oboję.

Ale niestety wszystkie te słowa i rady dobrej ma-

my odbijały się jak groch rzucony na ścianę, o uszy có-
reczki.

To też i służba nie lubiła jęj za to, że odrywała je
dla bylejakiego powodu od ważnego zajęcia, wyrzekały
na panią i ona sama niewiele ztąd odnosiła korzyści,
bo obsługiwanej w najdrobniejszej rzeczy nie pozosta-
wało tak już nic do zrobienia, że nudziła się śmiertelnie.

— Ach Boże! co tu robić — wołała nieraz znu-
dzona książką, lalką i siedzeniem na oknie, z kądem godzi-
nami całymi patrzyła na ruch uliczny, co przecież po pe-
wnym czasie znudziło ją jeszcze więcej.

— Zajmij się czem moje dziecko — mówił słysząc
te narzekania tatuś — a zobaczysz jak czas ci szybko bę-
dzie upływał.

— A czemże ja się mam zająć?! — odpowiedziała
dość niegrzecznie.

— Proś mamy, ona ci da zajęcie odpowiednie.

Ale mama próbowała już nieraz sama dać jęj czy
to jakąś robótkę, czy naprawę podartęj rękawiczki lub
wypranie zbrudzonej wstążeczki. — Felcia zawsze robiła
nadąsaną minę mówiąc:

— Od tego są przecież służące.

Raz, była właśnie sama w mieszkaniu, bo mama
z tatusem wyszli gdzieś za interesami na miasto, na
dworze zaś było pochmurno i od obiadu deszcz padał.
Znudzona bezczynnością i niepogodą, chodziła od jedne-
go okna do drugiego, kiedy naprzeciwko od podwórza
w dużym kuchennym oknie zobaczyła siedzącą dziew-
czynkę.

Znała ją dobrze. Była to Zosia, najstarsza córe-
czka rządcy, jęj rówieśniczka, która będąc młodszą
przychodziła nieraz z nią się pobawić, skoro jednak pod-
rosła musiały się przerwać te odwiedziny, bo Zosia bę-
dąc pomocą swęj matce, nie mogła tracić tyle czasu
poza domem.

Felcia lubiła ją zawsze dosyć, to też teraz usiadłszy
przy oknie przypatrywała jęj się pilnie. Oddalenie nie
było bardzo znaczne, więc z łatwością dostrzegła jak
dawna jęj towarzysza nasunawszy na rękę dziecinną
pończoszkę, cerowała starannie olbrzymią dziurę nucąc
przytem półgłosem jakąś piosenkę. Przed nią leżała
już skończona robota, a ona przecież, pomimo tak
nudnego zajęcia, miała minę wcale wesołą. Zadziwiło
to bardzo Felcię, więc skoro deszcz ustał otworzyła
okno i zawołała:

— Dobry wieczór Zosiu, nad czem tak pilnie pra-
cujesz?

Dziewczynka usłyszała wołanie, podniosła głowę
od roboty, otworzyła lufcik i położywszy palce na
ustach.

— Csss! — odparła. — Nie mów tak głośno żeby
czasem nie usłyszała nasza Józia, która pierze w sutere-
nie. Wiesz, nie jesteśmy bogaci, i choć tak liczną mamy
rodzinę trzymać możemy zaledwie jedną służącą. Ma
ona więc roboty bardzo wiele, a ponieważ ją skończy-
łam już swoje, chcę jęj trochę dopomódz w naprawianiu

bielizny mego młodszego braciszka, który wszystko drze niemiłosiernie.

Ale sza! Nie mów głośno żeby Józia się nie dowiedziała o tem, bo najprzyjemniej zrobić komuś potajemnie coś dobrego, żeby nie potrzebował okazywać swęj wdzięczności... wszak prawda?...

Felcia miała zamiar rozmawiać jeszcze dłużej, ale potem co usłyszała tak uczuła się zawstydzoną że umilkła. Zamknęła okno i zamyśliła się nad słowami swęj towarzyszeki.

— Jak ta Józia musi ją lubić kiedy ona taka dobra —myślała, i mimowolnie jakaś zazdrość obudziła się w jęj serduszk. Prawda że to tylko służąca, ale przecież i służąca jest naszym bliźnim, a codziennie w pacierzu powtarzam prośbę do Bogu o „przyjaźń ludzką”. Zawsze to miło być lubioną przez wszystkich... I pod wpływem tych myśli, w dobrem w gruncie serduszk dziewczynki powstało w tęg chwili postanowienie poprawy. Od tego też czasu Marysia nie była tak ciągle odrywana od zajęcia, a Felcia nie nudziła się nigdy, bo zawsze znalazła jakąś robotę, oszczędzając trudu mamusi i służącym.

Cairo.

KROWA.

— Mu-u-u; mu-u-u — tak wołała krowa na podwórzu.

Jania to posłyszała, bo była tuż niedaleko, zbierała kwiatki.

— Mu-u-u — jeszcze głośniej zawołała krowka.

Wtedy Jania poszła do krowki, leżała ona na trawie tuż niedaleko obory.

— Dobry wieczór, króweczko, dobry wieczór, czegoś się tak rozkrzyczęła? Czyś głodna? Możebyś kwiatczków skosztowała? wiem że ci smakować będą.

Bliżej podejść bała się Jania. Krowka bowiem miała duży pysk, jak chwyci kwiatki, może i rączkę pochwycić.

Tymczasem przyszła Marcinowa i przyniosła ceber napełniony wodą z mąką i solą, to była kolacya krowki.

Krowka wiedziała co to jest, wstała i tym razem już po cichu zawołała mu-u-u i zaczęła pić.

A Marcinowa wzięła się do dojenia krowki.

— Co Marcinowa robi z tego mleka? — pytała Jania.

— Wezmę trochę i ugotuję kaszy na kolacyę dla Jani, a resztę wstawię do piwnicy.

— A później co będzie z tem mlekiem?

— Później zbiorę śmietankę do osobnego garnuszka, a z mleka zrobię ser.

— A z tęg śmietanki będzie później śmietana, a z nięj masło, prawda Marcinowo?

— Panienska sama wie o tem. Takich stworzeń pożytecznych jak krowa, mało chyba na świecie. Nawet gdy ją zabiją jest nam potrzebną — mówiła dalej Marcinowa.

Jania zdziwiła się, bo cóż nam może dać krowka, jak ją zabiją.

A Marcinowa ciągnęła dalej:

— Mięso z nięj jemy wszyscy na obiad, a ze skóry robią trzewiki i buty. Kości, rogi, kopyta, wszystko ludziom potrzebne.

— Moja Marcinowo, a czy to wszystkie krowki są takie pożyteczne?

— Wszystkie, panienko droga.

— Teraz wiem dla czego każdy wieśniak ma krowkę u siebie.

Jania jeszcze chciała o coś pytać Marcinowę, ale Marcinowa już nie miała czasu. Skończyła doić krowkę, nadoiła pełen ceber i zaniiosła do piwnicy.

Jania też poszła do domu, ale w drodze ciągle myślała, że niema chyba pożyteczniejszego zwierzęcia nad krowkę.

Marya Weryho.

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

— Co to znaczy motylku? nad czem tak rozmyślasz? Czy chcesz kłam zadać lekkomyślności ogólnie przypisywanej motylemu rodowi? Mówią że wy, niestałe istoty, przelatujecie ciągle z kwiatka na kwiatek, z kielicha na kielich, ażeby najłodsze soki wyssać i wesoło dalej pofrunąć, a ty już od długiej chwili spoczywasz na listkach tęg czerwonej różyczki.

Słowa te, żywe i niecierpliwe, pochodziły od podługowatej, czarnej, bardzo pięknej i ruchliwej szczypawki, a odnosiły się do dużego, białego motyla, który rzeczywiście dosyć dawno usiadł na różanym krzaku i siedział tam ciągle nieporuszony, z wzniesionemi skrzydełkami, a zdawał się tak smutny, czy zamyślony, że wcale nie słyszał co do niego mówiono.

— Co jeszcze dumasz? — zawołała po chwili niecierpliwiona już trochę: — doprawdy, zaczynam przypuszczać, że z imienia tylko jesteś motylem. Czy zamierzasz wstąpić w ślady nadzwyczaj rozsądnęj, ale też nader nudnej pszczołki? Daj pokój, przyjacielu, i motyle potrzebni na świecie, a zresztą czyn co ci się podoba, ale odpowiedz mi przecie, bo stajesz się niegrzecznym.

Wtedy dopiero motylek obudził się z głębokiej zadumy, westchnął ciężko i spojrzawszy ze zdziwieniem na szczypawkę, jakgdyby teraz zaledwie zauważył jęj obecność, skinął jęj przyjaźnie na powitanie. Znali się od dawna i byli szczerymi przyjaciółmi.

— Jak się masz szczypaweczko — rzekł uprzejmie — przepraszam za moje roztargnienie, ale doprawdy tyle mam różnych kłopotów i zmartwień, że prawdziwie jestem nieszczęśliwym; cieszę się bardzo, że cię widzę, chciałbym cię prosić o radę, bo choć masz często ostry języczek, ale...

— Ostry języczek — przerwała szczypawka zaperzona — kiedy tak, żegnam... i furknąwszy gniewnie skrzydełkami, odfrunęła daleko ku krzakowi białego bzu — gdyż zwyczajem wszystkich ludzi i owadów obrażała się zawsze o prawdę. Motylek podążył za nią.

— Nie gniewaj się przyjaciółko — wołał z daleka — nie chciałem cię przecież obrazić, zatrzymaj się chwilę, poczekaj, och, nie mogę cię dogonić.

Dopędził ją nareszcie na gałązkach bzu krzaku.

— No cóż tam — mruknęła gniewnie. Motylek usiadł obok oddychając ciężko ze znużenia.

— A to się zmęczyłem, jeżeli dostanę zapalenia płuc lub tyfusu i zgasnę przedwcześnie, będziesz mnie miała na sumieniu, szczypaweczko, prawda, że „starość nie radość”, ale ja chciałbym tak żyć jeszcze trochę, w każdym razie przekonałem się, że masz dobry charakter w skrzydłach.

— Cóż dziwnego, uciekałam co sił starczyło od tak niegrzecznego owadu — mruknęła znowu obrażona szczypawka.

— Wybacz droga przyjaciółko, ale rzeczywiście nie przypuszczałem ani na chwilę, że się o to pogniwasz — mówił motylek najprzyjemniejszym głosem; wszak znamy się dawno, wiem, że masz złote serduszek, a że lubisz być czasem, jak to powiedzieć... troszkę złośliwą, albo raczej dowcipną i żywą, to przecież nic złego. Co do mnie przepadam właśnie za takimi osobkami.

— No, dobrze już, nie gniewam się — rzekła zupełnie udobruchana — powiedz mi lepiej nad czem tak rozmyślałaś na pączku róży?

— Ach, smutne to rzeczy, droga przyjaciółko; widzisz, stary jestem, koniec mój niedaleki, przeżyłem wiele ciężkich chwil w moim życiu, ucierpiałem wiele i chciałbym te śliczne jajeczka, dzieci moje kochane złożone w liściu kapusty, ustrzedz od podobnych nieszczęść; niechaj one chociaż skorzystają z mego gorzkiego doświadczenia.

— Cóż znowu motylku, co za ponure myśli? założyłabym się, żeś zdrowszy odemnie — pocieszała szczypawka.

— Nie, ja się nie mylę — odparł smutno motylek — wiesz przecie, że życie nasze barwne jest i wesołe, ale krótkotrwałe niestety. Myśląc więc o tem, postanowiłem dzieje moje, a zapewniam cię, że są bardzo ciekawe, opisać dla przestrogi wszystkich młodych gąsieniczek, bo wiesz pewnie, że my nie odrazu jesteśmy motylami?

— Zdaje się, któżby nie wiedział? Dawno już słyszałam o tem, chociaż... przyznam ci się, nie mogę uwierzyć i o ile kocham lekkie, powiewne motylki, o tyle nienawidzę szkaradnych, pełzających liszek.

— Mam nadzieję, szczypaweczko, że dla moich biednych dzieciaków zrobisz wyjątek i będziesz im życzliwą przyjaciółką — rzekł motyl. — Ale wracając do moich dziejów, przed chwilą trapiiony smutnemi przeczuciami, umaczałem łapkę w błyszczącej kropelce rosy i postanowiłem na listku róży opisać historię mojego życia, ku wiecznej pamięci potomnych pokoleń. Z tego powodu właśnie zastałaś mnie tak zamyślonym.

— Przypuszczam, że nie wprowadziłeś w wykonanie tak niedorzecznego zamiaru — zagadnęła szczypawka.

— Nie jeszcze, ale czemuż zowiesz go niedorzecznym?

— Twoje szczęście, żeś się spóźnił, inaczej cała praca poszłaby na marne.

Doprawdy!... Dla czego?

— Ach biedny marzycielu — zaśmiała się — ty bujasz po obłokach, a ja uważam co się dzieje dokoła dla mego, a jak dzisiaj i dla twego pożytku.

— Co się stało? — zawołał zaniepokojony motylek.

— Posłuchaj: niedawno przechodziły tu dwie istoty z tego rodzaju, który ludźmi zowią; były to, jak się z rozmowy dowiedziałam, matka z córką, mówiły, jak to szczęśliwie, że śliczna róża rozkwitła właśnie, gdyż panienka ustroi się w nią na jakieś zebranie, jutro. Widzisz więc, że na nic nie zdałyby się twoje trudy.

— Okropni są ci ludzie! — wykrzyknął motyl rozpaczliwie; — szkaradne samoluby wszystko chcą sobie przywłaszczyć, jakby nie wiedzieli, że kwiaty są wyłączną własnością owadów, a róże motylów. Czy aby tylko przyjaciółko, nie przesłyszałaś się, czy jesteś tego pewną?

— Najzupełniej, osoby te stały tu długą chwilę, śmiejąc się i rozmawiając, a ja tymczasem sfrunęłam na kapelusze panienki; spostrzegła mnie zaraz, zrzuciła istraszyła okropnie; dziwnie piskliwy głos mają ci ludzie, rozstroili mi nerwy swym przeraźliwym krzykiem.

— Cóż tu teraz poradzić? — mówił zakłopotany motylek.

— Możeby się znalazła rada — zauważyła szczypawka z dziwnie złośliwą miną, jak gdyby uśmiechając się do własnych myśli.

— Ach przyjaciółko najdroższa, życie mi powracasz, powiedz proszę!

— Jeślibym tylko mogła — mówiła szczypawka — dostać się w nocy do pokoju owęj panienki i dotknąć leciutko jej ust mojami szczypczykami, zaręczam ci, że odechciałoby jej się wszelkiego zebrania i miałbyś twoją różę.

— Cudowna myśl! — zawołał motylek uradowany.

— Żeby tylko wiedzieć gdzie ta panienka mieszka...

— Och to drobnostka, ja wiem — przerwał motylek uszczęśliwiony, że przecie i jego zdanie na coś się przyda — mieszka gdzieś bardzo wysoko, pod samymi obłokami.

— W takim razie nie podejmuję się wykonania mego zamiaru — powiedziała szczypawka zniechęcona — pierwsza miłość od siebie, a ja znowu cenię moje życie, ażeby się dobrowolnie narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Motylek tak nagle przerzucony z nadziei w rozpacz zdawał się ostatecznie zgębnionym.

— Teraz już naprawdę niema rady — rzekł smutnie — róża stracona, innym kwiatkom nie ufam, rosną nisko, mają małe wązkie płateczki, a zresztą któż mi zaręczy, że lada chwila nie padną one także ofiarą nienasyconej chciwości tych straszliwych ludzi. Trudno — dodał po chwili z poddaniem — muszę się wyrzec myśli przekazania potomnym wiekom, dziejów mego pełnego osobliwych przygód żywota.

(d. c. n.)

SZARADA. od Prawdy dla Szczerości.

Do drugiej, trzeciej kto się stosuje
Lecz dobrej tylko, ten zwykle wygrywa,
A cała zawsze łamigłówką bywa.

Łamigłówka literowa.

Z początkowych liter następujących imion: Wań-
dzia, Wicuś, Adaś, Antoś, Anielcia, Romek, Staś, Zuzia,
ułożyć nazwę miasta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Zagadki:

L i n — N i l.

Łamigłówki:

s k k p s k k r p t o
o r u u i o r a i u l
K O C H A N A P A N I
ó w y a n i t i n e m
ł a k r o e a r a l p

Skrzynka do listów.

Tęsknocie za Wisłą szczerze winszujemy powodzenia, które
zawsze towarzyszy sumiennej pracy. Dobrze to powiedziała jedna
z poetek naszych, że „praca powinna być szczerem utrudzeniem.”
Tylko taka owoc przynosi...

Lilijka z nad Wisły i Jeździec z nad Dunaju przysłali nam
liściki, które chętnie pomieścimy, skoro tylko pozwoli na to „kolej.”

Sz. P. Wyl, Prenumerata całoroczna zapłacona.

Promyczku drogi, aż się jaśniej zrobiło w Redakcyi, gdyś
błysnął takim słowem serdecznem, nad które miłszej nagrody nie
znamy. Istotnie „brzydka to wada” wyobrażać sobie, że napisanie
listu jest rzeczą trudną, gdy się pisze tak ciepło, tak prosto
z serca i tak... (czemużby prawdy, choć pochwalnej nie powie-
dzieć?) poprawnie. Promyczek biedny kłopot ma wielki ze
sztuczką z kart, której wykonać nie może; przypatrz się tylko
uważnie, a zobaczysz, że zrozumiesz, o co chodzi. Innego obja-
śnienia nad to dać nie możemy; a wszystkie tego rodzaju za-
bawki należycie zostaną wypróbowane, zanim się je poda w Wie-
czorów.

Niezapominajko z nad Nesterówki, wybornie pojmujemy
przyczynę, dla której nie mogłaś należeć do konkursu, z boleścią
twoją współczujemy serdecznie. Powtórne podawanie wskazó-
wek ci potrzebnych, zabrałoby za wiele czasu i miejsca, możemy
tylko polecić ci książeczkę: Zbieranie roślin i urządzenie zielni-
ka Wienicysława Łosia, cena wraz z przesyłką kop. 20, którą ci
też bezzwłocznie posłaliśmy, abyś z niej korzystać mogła jeszcze
w ciągu tegorocznego lata. Przesyłka roboty pociągnęłaby za
sobą wiele kłopotu i kosztów, trzebaby się tylko postarać
o okazyje.

Hel. Bütner. Żądanego słownika няма w księgarniach za-
opatrzonych w nowsze wydania, trzebaby go poszukać u anty-

kwaryuszy, radzilibyśmy jednak słowniki nowsze w dwóch języ-
kach t. j. fran. pol. i odwrotnie tom I i takiż sam pol. niem. rów-
nież tom I, co kosztować będzie z przesyłką rs. 3 kop. 60.

Niedotęga, którego pierwszy liścik wielką nam sprawił przy-
jemność, przysłał szaradę, którą w swoim czasie wydrukujemy...
z poprawkami.

Postaramy się zadość uczynić żądaniu miłej nam korespon-
dentki, **Wiochny z pod Lublina**.

Witamy z przyjemnością korespondentkę w **Figlarce**, pro-
sząc ją o dokładne wymienienie lat, nazwiska, oraz adresu.

Nie, **Brzydotko z nad Tamizy**, „gniewać się” z pewnością nie
będziemy, poczekać tylko musisz na swoją kolej. Poczekała tak-
że trzy siostrzyczki, z których jedna, **Gospośia z nad Whog**. nie
podała nam lat swoich.

Biedne ty, **Rajskie Jabłuszko** co aż zbladło ze wstydu! bar-
dzo dobrze że się nareszcie poprawiasz i piszesz do nas. Widocznie
jednak pomimo milczenia, nie zapomniałaś o nas, skoro robisz na
konkurs robótkę.

Mile i kochane, ale wcale nie tajemnicze Cairo! Mylisz się,
przypuszczając, że pseudonym twój jest mi nieznanym, owszem,
znam go oddawna i dlatego z podwójnem zajęciem odczytuję po-
wiastki opatrzone twym podpisem. Słyszałam tak wiele o tobie,
że zdaje mi się iż cię znam trochę, osobiście poznamy się za parę
tygodni może. Mam nadzieję że nie zdziwisz się wcale, gdy w na-
lęczowskim parku, nieznajoma osoba powita cię bez ceremonii;
spodziewam się że i ty uczynisz to samo, jeżeli rozpoznasz a ra-
czej odgadniesz, prędkiej niż ja ciebie. Dłuższą pogadankę od-
kładałam do osobistego widzenia, a tymczasem żegnaj cię sympa-
tyczna mi oddawna Anulko. Twoja *Wiochna z pod Lublina*.

Luba Iskierko z pod Lublina! Dziękuję ci serdecznie, żeś
się do mnie odezwała. W wieku jestem twą rówieśniczką, a imię
twoje bardzo mi się podoba. Moje także niebrzydkie, bo mam
imię naszej księżniczki co nie chciała Niemca. Z nauk lubię naj-
lepiej nowożytny języki i rysunki. Całuję cię serdecznie *Brzydotka
z nad Tamizy*.

Kochany Promyczku ze Wspólniej! Przeszedłeś do 4-tój kl.
jesteś w 5 gimnazjum, nazywałeś się W. St. i masz 2-ch braci. Ja
nazywam się W. znam ciebie dobrze, zgadnij kto jestem. Twój
Niedotęga.

Drodzy moi: Filozofie, Komarze przedpotopowy, Skander-
begu, Sobolu Irkutski i Straszny Mrozie. Mnie bardzo podoba-
ły się wasze pseudonimy i dlatego chcę z wami korespondować.
Jeżeli zgoda, to napiszcie ile macie lat, gdzie uczycie się i mie-
szkacie i jakie są wasze imiona. Czekam jak najrychlejszej odpo-
wiedzi. *Jeździec z nad Dniepru*.

Drogi moje Biała Akacyo, Kopciuszku i Kulko śniegowo!
Nie uwierzysz Biała Akacyo jaką sprawiłaś mi radość doniesieniem,
że Lucia miała być oddaną do Krakowa, gdyż mogłabym się
z nią często widywać mieszkając o dwie mile. Donieś mi proszę
na jakiej masz być pensyi? Tobie drogi Kopciuszku dziękuję za
liścik i za dobre serduszko, miłuchnej Kulce śniegowej za jej po-
zdrowienie; gdzież się ukrywasz Kulko, kiedy cię jeszcze promie-
nie słońca nie roztopiły? Jestem zachwycona wierszykami Janka
sieroty, zostanie on pewno sławnym poetą! ma wzniosłego ducha,
jego słowa wprost do serca trafiają. Ścisła was po milion razy
i prosi o prędką odpowiedź *Cicha Woda*.

Kochana Wróżbiarko szczęścia. Podoba mi się bardzo twój
pseudonym, to też gorąco pragnę z tobą korespondować. Czy ze-
chcesz? Błękitna Kokardko, w równym może jesteśmy wieku, bo
i ja do rzędu staruszek należyc będę. Szarotko, kochana moja
imieniczko, czy wzrosłaś może jak ja wśród Alp, czy też Tatry są
twoją ojczyzną? Siostrzyczki drogie, kocham was wszystkie bez
wyjątku i o każdej coś bliższego wiedzieć bym chciała. Czy kiedy
z którą z Was się poznam? Ścisła was z serca całego *Szarotka
Alpejska*.